

# SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY I POLITYCZNY.

**PRENUMERATA w Warszawie:** z odnośnieniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedynczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO“ wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1. Tel. 97-83.

**OGŁOSZENIA** po kop. 15 za wiersz petitu. **REKLAMY** po tekście kop. 30 za wiersz petitu. **NADEŚLANE** na 1 stronie przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można codziennie od g. 3—5 po południu. Drobnym rękopisów nie zwraca się.

## TREŚĆ NUMERU:

Zmierzch lojalizmu, przez Henryka Lukreca.  
Niesnaski wszechpolskie, przez W. Wraskiego.  
Jak się bawią ludzie, p. Leona Choromańskiego.  
Echa! Prawo do życia, przez L.  
Beaucoup de bruit..., przez Mm.

Marzenia utopijne p. Edwarda Grabowskiego.  
Krytyka i sprawozdania: Michał Sobeski. „Prędziwo Arachny“, przez Julję Dicksteinównę.  
E. Czirikow. U progu życia, przekład p. J. B.  
Wiadomości bibliograficzne.  
Kronika.  
Dodatek: J. Wł. Dawid. Inteligencja, Wola i Zdolność do pracy. (ark. 70).

## Czas odnowić prenumeratę na kwartał III-ci.



## Od Redakcji

Ażeby zadosyć uczynić wzrastającym potrzebom naszych czytelników, zamierzamy rozszerzyć dział naukowy i literacki w *Społeczeństwie*, jako też wprowadzić szereg ulepszeń technicznych.

W tym celu powołaliśmy dotychczas do *najbliższego* współpracownictwa pp.: **J. Wł. Dawida,**

**Wacława Nałkowskiego, Ludwika Krzywickiego, Janusza Korezaka, Wacława Wróblewskiego, Henryka**

**Lukreca, J. M. Muszkowskiego.**

Dokładna zapowiedź zamierzonych prac i szczegółowa *lista stałych współpracowników* zostanie ogłoszona we wrześniu r. b.



## ZMIERZCH LOJALIZMU.

Dziwni są ci realiści. Ludzie, którzy mówią na różne tematy, lecz o których „nigdy tematy nie mówią”. P. Ludwik Straszewicz znów gawędzi jak stary zegar gdański, opowiada — jak było ongi, jak być po-

winno, czasem uderzy mocniej — wybija z patosem wielką godzinę pokoju i przymierza stronnictw. „Kto dziś, w godzinie próby, przyczyni się do zaprowadzenia pokoju wewnętrznego, tego potomność wdzięcznie wspominać będzie” \*) Nowy akord w starodawnej muzyce ugodowej. I cóż go wywołało? Oto, że „wsteczność zjednoczyło się z nacjonalizmem, i dążą w trzeciej Dumie prostą drogą, nie krępując się wcale jakimikolwiek względami do zaspokojenia swoich pożądań. Co tylko zechcą — uczynią”. „Co dzień domagają się nowej ofiary. Szukać jej będą na północy i na południu”. Dla nas to nie nowe. Że „sytuacja polityczna w państwie rosyjskiem wyjaśniła się zupełnie” o tem wiedzą już dawno ci wszyscy, w Rosji i Królestwie, którzy jeszcze w wieku ubiegłym odrzucili na zawsze tołstojowską zasadę „niesprzeciwiania się złemu”. P. Ludwik Straszewicz w uniesieniu pokojowym zapomniał widocznie, że starzy realiści hołowali i hołdują tej zasadzie od chwili swoich narodzin, że przyszli na świat w Polsce po to, by właśnie taką rolę spełniać i każde śmielsze słowo i postępek chrząć mianem wicherzycielstwa i bezmyślnego rokoshu, który nieprzystoi ludziom dobrze ułożonym, wychowanym i dobrze w głowie mającym. Lecz ułożenie towarzyskie nigdy nie miało wpływu na ułożenie polityczne. Dziś zaś twórczość polityczna nie polega jedynie na „nieopuszczaniu rąk”. Ażeby wznieść się na szczyty tej twórczości nie wystarczają przygodne koncepcje, zalecane od czasu do czasu przez realistów, nie wystarcza również bezpodstawny ogólnik, że „nieszczęścia i niebezpieczeństwa zbijają zdrowy naród w jedną solidarną gromadę, silną zapalem i wytrwałością, spójną zaufaniem wzajemnem”.

\*) Artykuł, drukowany w *Słowie*. p. t. „Wobec panującej nocy”.

Walki stronnictw nie są prowadzone w celu zadowolenia ambicji prowodyrów, jak mniema p. Straszewicz; rezygnując z tych ambicji, nie usuwa się jeszcze tem samem przyczyn walk tych stronnictw, które wyrażają dążenia różnych odłamów społecznych, o czym od niejakiego czasu wiedzą już ludzie nawet elementarnie pod względem politycznym wykształceni. Zapamięta i wytrwałości nie wzbudzają nieszczęścia, o sile dążeń oddzielnych grup społecznych stanowi głównie ich własna myśl polityczna, która jedynie w okresach „nieszczęść i niebezpieczeństw” nie słabnie i nie podlega wypaczeniu na wzór myśli politycznej lojalizmu i ugody. P. Ludwik Straszewicz, wpatrując się w „noc panującą” i szukając w niej światła kierowniczego—chwycić się musi tak złudnego oparcia, jak „solidarna gromada”. I nic innego realistom nie pozostało. Widząc, że przedmiot ich nadziei, podstawa ich dążeń ugodowych, bez względu na afekty lojalistyczne—szuka bez przerwy nowych „ofiar na północy i na południu” i nie myśli zgoła o wyrazach łaski i czułej opieki,—realiści zmuszeni są zwrócić się ku własnemu społeczeństwu i krzyknąć mu „ręk nie opuszczaj!” wówczas, kiedy ich ręce spoczywają w naturalnym bezwładzie. Ugoda z jałowych nizin własnej przeszłości stacza się bez oporu w przepaść ostatecznej zagłady. Na Petersburg więcej realiści liczyć nie mogą. Wiara w opiekuńczą dłoń rządu rosyjskiego, cechująca wyłącznie ducha partii ugodowej, — wiara, odmierzająca realistom osobliwe stanowisko w naszym społeczeństwie,—(sprzeczne aż do wyłączenia zupełnego ze stanowiskiem tego odłamu, który w ubiegłej epoce przemawiał i występował w imieniu własnem i całego narodu)—dziś znika, wytrącając zarazem lojalizm polski z równowagi i rzucając go na głuche bezdroża. Dla tego też p. Straszewicz zastanawia się dziś właśnie, jak się ma „ratować, jakim się w tej nocy czarnej światłem kierować”. Przykre chwile rozważył! Podjąwszy spuściznę polityczną Lubeckich i Wielopolskich i pomnożywszy ją wdwójnasób przez przeciąg kilkudziesięcioletniego okresu,—dziś ci spadkobiercy, stanawszy u progu bankructwa, szukają ratunku i nowej wiary politycznej. Zwracają się do społeczeństwa i odwołują się do ufności wzajemnej, schodzą do tego społeczeństwa, które gotowe jest im wytknąć w każdej chwili szereg aktów poniżających i na ich zgiętym karku nakreślić dekrety—upadku, gromadzone na szpaltach ich własnego „Kraju”, „Słowa”, głoszone przez mężów ugody w Warszawie, na Litwie i Podolu. Nie mogąc przez szereg dziesięcioleci pozyskać mas dla swego programu i sposobów działania, pozbawieni organizacji, zresztą zbytecznej w pracy oczekiwania na dowody opieki i na objawienia łaski,—mogli stanowić jedynie pewien ośrodek polityczny, niezbędny dla deklamatorów publicystycznych i potrzebny dla tego koła arystokracji naszej, która nie pogardzi nigdy patetyczną mową o obowiązkach obywatelskich, a która daje dowody miłości kraju w tych rzadkich chwilach szczodrości, kiedy sypnie ofiary na dziady spalizowane.

Artykuł „wobec panującej nocy” zapowiada zmierzch realizmu. Ugoda polska przestaje sama wierzyć w swe

siły; pozbawiona organizacji i szerszych sympatji nawet w wyższych sferach mieszczańskich—istnieje jeszcze ciężarem bezwładu w nielicznych kołach rozproszonych szlachty. Rozwój ugody, bezpośrednio zależny od petersburskiego źródła nadziei, został w ubiegłym dziesięcioleciu wstrzymany. Ostatnie lata tryumfującej reakcji rządowej i szereg zwycięskich aktów, znoszących resztki rękami wolnościowych, oraz krucjata przeciw narodom podbitym—rozchwieła wreszcie złudzenia nawet w sferze tak upartych ludzi, jak ugodowcy, i zmusiła ich do zwrócenia uwagi na własne społeczeństwo. Tem samem ślepy i optymistyczny realizm traci główną podstawę swego istnienia.

P. Ludwik Straszewicz usadowił się obecnie w swem obserwatorium politycznym z zamiarem badania „czarnej nocy”. Niechaj wpatruje się w ciemną dziś i długą perspektywę. Nie ujrzy w niej jednak „solidarnej gromady”. W tym czasie kiedy p.p. Piltz, Straszewicz i inni mieli ciągle zwrócone oczy na północ, w Królestwie krystalizowały się żywioły społeczne, tworzyły się obozy i stronnictwa według klas i odłamów, przejęte odrębnymi dążeniami, rozwijającymi się pod egidą różnych ideologii, i posiadły dziś tak wyraźne fizjonomie, że o żadnej gromadzie mowy być nie może, jeśli nb. nie chce się być śmiesznym lub ośmieszonym.

Henryk Lukrec.

## NIESNASKI WSZECHPOLSKIE.

Stronnictwo wszechpolaków galicyjskich przechodzi przez ciężkie przesilenie, którego wynik ostateczny nie daje się dziś jeszcze przewidzieć. W każdym bądź razie szeroko się już mówi o możliwości rozłamu czy rozsypania się zwartych dotąd w obrębie monarchji habsburskiej szeregów narodowo-demokratycznych.

Przesilenie to jest dla nacjonalistów galicyjskich tem dotkliwsze, że czasy ostatnie były dla nich, niewątpliwie, okresem powodzenia.

Przyczyniły się do tego nie program, nie siła wewnętrzna stronnictwa, lecz — jak przyznają nawet miarodajne głosy tutejszej endencji\*) — względna słabość innych stronnictw galicyjskich.

W istocie, w miarę postępu demokracji Przedlitawii ster rządów [musiał zacząć się wysuwać z arystokratycznych rąk stańczyków i podolaków; demokraci wszelkich odcieni i kierunków nie mają za sobą ani jasno określonej platformy ani licznej i spójnej organizacji; ludowcy, mało zasobni w siły inteligentne, błędzą dziś po manowcach polityki „agrarniej”, prowadzącej do dziwacznych sojuszków między chłopem a obszarnikiem i powodującej poważne tarcia wewnętrzne w łonie samego stronnictwa; socjaliści wreszcie, wobec braku wielkiego przemysłu nie stanowią w Galicji również wybitnej siły społeczno-politycznej, tak, że pole działania dla wszechpolaków było względnie dogodnie.

Jakoż, bez wielkich wysiłków, bez zasług, a przy pomocy—zastępującej program—metody politycznej, polegającej, jak pisze „Czas” krakowski, „na wymyślaniu

\*) p. w „Gazecie Warszawskiej” artykuł „Dwie polityki” p. D (mowskiego?)

przeciwnikom, szerzeniu fałszywych wiadomości i wma-  
wianiu w siebie ogromnej siły", udało się demokratom  
narodowym dojść do poważnych stanowisk w kraju  
i objąć — w osobie p. Głabińskiego — ster nad jedną  
z decydujących frakcji w Radzie Państwa.

To jednak powołanie okazało się źródłem obec-  
nego przesilenia w łonie stronnictwa.

Obóz wszechpolski w Galicji oparł się ostatecz-  
nie i wzrósł w siły na podstawie walki z „wrogiem  
wewnętrznym”—ukraińcami.

Zastępowało to zarówno program, pozwalało ubie-  
rać się w szaty stronnictwa ponadpartyjnego, pozakla-  
sowego, narodowego *sans phrase*, jak i dawało ciągłą  
możność do wystawiania się za organizację czynu pa-  
trjotycznego i obrony kultury zachodniej przeciw „haj-  
damaczyźnie”.

*Bluff* ten mógłby się ciągnąć bardzo długo, gdy-  
by nie zbieg okoliczności politycznych, które pewnej  
części przewodców wszechpolskich kazały się go wy-  
rzec jako głównego sztandaru stronnictwa, sztandaru,  
pokrywającego nicość myślową drobnomieszczańskich  
ciurów, spędzonych do obozu demokracji narodowej.

Okoliczności te — to austriacka racja stanu, w któ-  
rej obręb promieniowania musieli wejść niektórzy *lea-  
derzy* endeccy, ci właśnie, którzy stali się najwyższym  
uosobieniem powodzenia stronnictwa.

Ta racja stanu zaczęła się domagać bardzo wy-  
raźnie uczynienia zadość—słusznym, czy niesłusznym,  
nie o to teraz idzie—żądaniom ukraińców.

Chodziło tu, z jednej strony, o zlagodzenie waśni  
narodowej między dwoma ludami, gdyż jest to koniecz-  
nym warunkiem dla rozrostu krzewiącego się impe-  
rializmu austriackiego.

Z drugiej, rząd wiedeński w imię prostego instyn-  
ktu samozachowawczego musi dążyć do bezwzględnie-  
go zjednania dla monarchji habsburskiej ukraińców wo-  
bec podnoszenia łba przez ruch moskalofilski, zwracają-  
cy się ku państwu ościennemu za poduszczeniem „rubla  
wędrownego” i neoslawizmu, którego jednym ze  
wskrzescieli był... p. Dmowski.

Z tą racją stanu musieli zacząć się liczyć ci prze-  
wódcy galicyjskiej demokracji narodowej, którzy, za-  
szedłszy wysoko, pragnęli w dalszym ciągu „z żywemi  
naprzód iść”, przedewszystkiem więc ci, którzy są *mi-  
nistériables*, jak p. Głabiński, wieloletni już kandydat  
do teki skarbu.

Zwalczając *à outrance* „ukrainofilstwo” rządu cen-  
tralnego i posłusznego mu — krajowego — —stało się  
dla tych panów niedogodne.

Trzeba się było pogodzić z postawą, jaką wobec  
ukraińców zajęli namiestnik i marszałek krajowy; trze-  
ba było nawet osobiście — jak to uczynił p. Głabiński  
w sprawie zapomogi rządowej dla rolnictwa galicyjskie-  
go—czynić ustępstwa ukraińcom.

Dążenie do zachowania sobie zaufania korony  
musiało przewyciężyć wstręt do rusinów, którego—przy-  
najmniej na czas pewien—trzeba się było wyrzec jako  
hasła bojowego.

Bezwzględna opozycję wobec ukraińców mogli  
prowadzić w dalszym ciągu tylko prości duchem sze-  
regowcy endecy lub ci przewodcy, którzy robią karje-  
rę jeszcze w łonie samego stronnictwa, lecz nie, jak  
pp. Głabiński, Battaglia, German, na szerokiej arenie  
życia państwowego.

Dwa te odłamy arywistów politycznych musiały  
się, oczywiście, zetrzeć.

I oto, ci, którzy dotąd nie są *ministériables*, jak  
p. Pawlikowski i słynny przechera, człowiek, co jadł  
chleb ze wszystkich pieców politycznych, p. Grabski,  
przeprowadzają na ostatnim zjeździe swego stronni-  
ctwa rezolucję, wzywającą do „stanowczej opozycji  
przeciw systemowi rządu krajowego, który... poświęca  
najżywotniejsze interesy narodowe na rzecz wrogiej  
nam partji ukraińskiej, a opierając się równocześnie

na żywiołach, którym dostępne są pokusy stanowych  
lub osobistych korzyści, demoralizuje życie publiczne  
narodu”.

Na to pośrednio wyrażone sobie wotum nieufno-  
ci *ministériables* w osobie grupy posłów demokratycz-  
no-narodowych Koła Polskiego pospieszyli odpowie-  
dziec wyrzeczeniem się przez posła Germana godności  
przewodniczącego grupy i kontr-rezolucją, głoszącą, że  
grupa poselska demokratyczno-narodowa prowadzi po-  
litykę zupełnie samoistnie, nie uznaje za miarodajne  
dla siebie uchwał zjazdów stronnictwa, a pod wzglę-  
dem organizacji wewnętrznej jest zupełnie autonomiczna.

Takie jest pochodzenie i—możnaby powiedzieć—  
realna treść ideologicznej walki pomiędzy „wiedeńską”  
a „lwowską” grupą przewodców endeckich. Klasyczna,  
dla stronnictw burżuazyjnych, kłótnia o teki i posady,  
wpływy i zaszczyty zajaśniała tu w całej pełni.

Błędne jest stąd—jak uczyniły to niektóre pisma  
nasze—przykładanie szerszej miary do domowego spo-  
ru endecji galicyjskiej.

Wartość obu stron poróżnionych jest jednakowa,  
i przeciwstawianie rzekomego „radikalizmu” pp. Pa-  
wlikowskiego i Grabskiego „oportunizmowi” p. Gła-  
bińskiego i towarzyszy nie wytrzymuje w świetle istot-  
nych motywów dwóch tych polityk najmniejszej  
krytyki.

„Radikalizm” lwowski sprowadza się całkowicie  
do trwania przy dotychczasowym zaciekłym szowiniz-  
mie bez cienia opozycji istotnie narodowej i demokra-  
tycznej, obcej zgola wszechpolakom.

„Oportunizm” wiedeński nie jest od kierunku  
p. Grabskiego ani na jotę więcej cesarsko-królewskim.  
Byłby natomiast pożądanym zwrotem w dziedzinie po-  
lityki narodowościowej endecji, gdyby można go było  
uważać za zwrot istotny, wypływający z pewnej zmiany  
poglądów, nie zaś z chwilowej konjunktury.

Krótkowzrocznością też byłoby przewidywanie, że  
niesnaski dzisiaj w obozie wszechpolskim doprowa-  
dzą do przeobrażenia się go w stronnictwo „ostrzej-  
szego tonu”, zarówno gdy idzie o walkę przeciw upo-  
śledzeniu Galicji, jak i o wpływ na niezawsze pożądaną  
dla społeczeństwa tamtejszego politykę ogólnopaiństwo-  
wą. Drobnomieszczaństwo, na którym się opiera stron-  
nictwo, nie jest skłonne do jakiegokolwiek bądź  
(z wyjątkiem nacjonalistycznego) radykalizmu, nie od-  
powiada to bowiem ani jego temperamentowi politycz-  
nemu, ani charakterowi klasy społecznej upadającej.

Jak fronda „lewicy” endeckiej w Królestwie, tak  
przewidywana dziś secesja grupy poselskiej w Wiedniu  
może się stać jedynie chwilą przełomową dla rozrostu  
wpływów i znaczenia wszechpolaków w Galicji\*\*).

W. Wr-ski.

## JAK SIĘ BAWIĄ LUDZIE LEPIEJ UBRANI.

(FELJETON).

### I.

Muzyka mruży, popłakuje, skrzypi, stęka, podczas  
gdy kilka tysięcy osób drepcze pracowicie koło zdy-  
chającej sadzawki. Kapelmistrz kiwa się dobrotliwie

\*\* Przesilenie zostało zażegnane kompromisowo. Dn. 19  
b. m. odbyła się we Lwowie narada Komitetu demokratyczno-  
narodowego przy współdziałaniu posłów sejmowych i parlamen-  
tarnych (z liczby tych stawili się tylko „radykali”). Zebranie  
uchwaliło wotum zaufania dotychczasowemu zarządowi stron-  
nictwa tj. pp. Pawlikowskiemu i Grabskiemu, natomiast zmu-  
szone zostało do potwierdzenia autonomiczności grup posel-  
skich, które „decydują samodzielnie, chociaż w porozumieniu  
z Komitetem wykonawczym” stronnictwa. W jednolitości więc  
tego ostatniego nie załatano szczyby, przez którą niezawo-  
dnie nie przestanie się sączyć ropa dalszych nieporozumień. (Red.)

i dziwacznie, groteskowo i panoramicznie. Podskakuje, rzuca się naprzód piersią jak pływak, wydłuża się jak znak zapytania w liście patetycznym, wymachuje pałeczką jak swawolny arlekin, a po chwili trzęsie nią potężnie jak marszałek i budzi śpiące po kątach pużony. Ten człowiek wziął na swe barki ciężar, swobodę i kalejdoskopijność ruchów i gestów. Inni za to poruszają się bardzo poprawnie z pewnem skupieniem i skrzypieniem. Nikt nie rzuci głową napróżno, a kroki stawia każdy z namaszczeniem i oględnością. Chodzi wszystkim, jak monarchom na wodach leczniczych, o zachowanie pewnego incognito, w którym jaśnieć może najwyraźniej uroda, tytuł, bogactwo i toaleta, lecz charakter osobisty temperament, humor, ochoczość przedstawiać się powinny w kształcie kuszącego znaku zapytania. Przydreptało pracowicie a licznie mieszcząc stwo z całą konsolacją lub częściowo, gdyż nieraz niedyspozycja humoru dziewczęcej sfery, każe im zostawać nagle w domu, powalwszy się nie na łożo boleści, lecz na psikusową otomanę z książką nieboszczyka (za takiego śmiało uchodzić może) Bourgeta, Prevosta lub Pierra Louysa, co to napisał przepyszną *Aphrodite*, gdzie, jak mi mówiła z zachwytem pewna młoda dama, jest ustęp brzmiący mniej więcej w ten sposób: „Bądźcie spokojni, ona (t. j. kurtyzana) już się nie poprawi”. Drepczą sobie Połanieccy i Podfilipscy, siadają, piją mazagran. Czasem zabrzmi śmiech i urwie się, jakby zgromiony, czasem oko pani piorunem przeleci po plecach wystrojonej współzawodniczki. Panna domu—wcale nie brzydka blondynka—nudzi się straszliwie. Jej jasno niebieskie oczy pełne są bladej melancholji i oczekiwania niemal beznadziejnego. Młodzieniec w popielatym garniturze rzucił już na nią kilka razy okiem, oszpeconem żądzą. Jakżeby chętnie porzuciła miejsce przy stole rodzinnym, puhar z mazagranem i słomka, jakżeby chętnie odbiegła od stołu, gdzie papa rozłożył swe kosmate łapy wodnika, specjalisty od uciech gabinetowych, z szarą chciwą pustką w ślepkach, i zwierza się przed mamą półgłosem ze swych obaw giełdowych. Mówi chrapliwym szeptem i patrzy przytem w szyję swej połowicy, której obfitość tłuszczu nadaje pozór wola. Doprawdy, ta rozsądna rozmowa przy dalekich dźwiękach walca, prowadzona z obojętnem okrucieństwem, bez względu na to, że jej, młodej, zupełnie co innego świta w głowie, doprowadza do zimnych łez wściekłości. Papa przy stole rodzinnym usadowił swe łęki finansowe, a mama swe niezadowolenie ze służby, z drożyzny prowiantów i troskę o to, czy nie za wiele wydadzą w Sobotach, gdzie niemiaszkowie czekają już z otwartymi ramionami i odstąpią im własne mieszkania z haftowanymi po ścianach aforyzmami. Ach, mamie dobrze, mama ma swe ideały! Ale w jakże cierpkim położeniu jest ona—młoda dziewczica—zdolna do wszystkiego, począwszy od bajecznej niewinności a skończywszy na liberalizmie półdziewictwa. Jakżeby chętnie, wobec braku zasadniczej przeszkody w duszy, frunęła do młodzieńca, którego oko szpeci żądzą, i zarzuciwszy mu ramiona na szyję, pozwoliła się porwać i unieść w miejsce zaciszne, gdyby nie obawa niepojęta, skrupowanie i wstyd wobec ciotki opinji—tej damy wiecznego niezadowolenia i oczekującej wszelkie objawy szczerzego instynktu. Zamiast tego siedzieć oto trzeba w zbożnem skupieniu, z duszą przytłoczoną obrzydliwością konstytucji kołtuńskiej, która zmusza wszystkich do tego, by się stawali podobni do automatów i zionęli chłodem wybrzeży, skąpanych w przyszłowiowych mgłach londyńskich.

W pewnem dość ponurem odrętwieniu, maskowaniem iluzją swobodnej a dowcipnej rozmowy, przechadzają się osoby w iluzorycznym cieniu drzew albo przy świetle elektrycznym. Damy obnoszą stroje. Są one obmyślane tak skrupulatnie, że doprawdy w głowę się zachodzi, ile to w naszych czasach kobieta musi się napracować mózgiem. Co za sprzężaj wyrafino-

wany, co za labirynt lubieżnie-okrutny haftek, haczyków, zatrasków, sprzączek, guzików, bandaży, tasemek, podwiązek i kontrafałd, łaskoczących plecy, ramiona, szyję, które uśmiechają się olśniewająco z po za filuternych przezroczy.

Wieczór robi się głębszy, a ścisk większy. Teraz już jawniej brzęczą rozmowy. Zalutują słówka francuskie i wonie perfum. Kilka gwiazd, spłoszonych przez błyskawiczność szafirowo-białych ampli elektrycznych, zerka w zawstydzeniu na niesłychany szyk warszawski. Połaniecki spotkał kolegę po fachu i obaj—skutkiem brzydkiego przyzwyczajenia pluszczą się w hańsku interesów, rezonują poważnie, z przekonaniem, jak przystało na ludzi zrównoważonych i ładu żądnych. Tymczasem potomek rodziny znakomitej, lecz zubożałej, młody Czółno Don-Don-Pompaliński prowadzi konwersację z panią domu i panną. Matka wcale jeszcze się nie poddaje—zwłaszcza ożywiło ją przeczytanie „Przeciw Śmierci“ Mulforda. Lecz trzeba przyznać, że kokieterja jej ma tempo nieco zbyt nagłace. Córka tego samego typu, lecz dyskretniejsza i bez natrętnej patyny czasu. Obie są mocno ściśnięte w pasie i obie żywią zgodnie to przekonanie, że polka powinna: *ubierać się jaknajmodniej...*

Młody Pompaliński czuje się trochę nieswojo. Mama zapuszcza w niego nieustannie wzrok spiczasty, jak pysk charta, i młodzieniec nie wie, czy przeznaczają go na konkurenta dla swej córki czy na jedną z nich, która jej mężowi, nieco ociężałemu człowiekowi, ma przyprawić rogi. (Rogi nie są wcale rzeczą szpetną: najpiękniejsze w świecie zwierzęta, jak jeleni, łoś, daniel, koziorożec mają rogi i noszą je z wielką dumą). Córka jest albo sztywna, albo emfaza wytryska z niej wszystkimi porami. Kłamliwość organiczna jest jej cechą konstytucyjną. Pompaliński chętnie by zwał, lecz niestety, wysłuchiwać musi relacji, jak się paniom podobał „Sokół“ albo „Rzeczy wesołe“ Kornela Makuszyńskiego. Mama zwierza się z pewną dyskrecją, że pragnie przeczytać „Kult ciała“, jest to bowiem książka podobno nieprzyzwoita na sposób swojski (Odkąd „Świat“ wyraził się o niej ze świętobliwym skrzywieniem gęby—pani nie posiada się z ciekawości). Ale dostać ją trudno, ach, jak trudno! Pompaliński obiecuje, że z pod ziemi wytrząśnie...

I tak gwarzą sobie osoby... Muzyka pluszcze i podzwania, kapelmistrz łamie się i rozpląszcza, żwir chrzęści.

Tymczasem kilku ukrytych w krzakach zbirów zapala ognie bengalskie. Zaczyna się pukanina pyrotechniczna. Trzaskają kule srebrne, złote, fioletowe, leją się fontanny, syczą węże, rozsypują deszcze ogniste!

Towarzystwo nieco się rozkrochmala. Panie wołają całkiem szczerze: ślicznie! ślicznie! Nie, tego jeszcze w Warszawie nie było! Mężowie przybierają różne mniej lub więcej wyzywające postawy i szepczą: A widzisz moja duszko! a kto cię tu przyprowadził: ja!

Lecz, o smętna niestałość rzeczy ludzkich. Jeszcze jedno, drugie energiczne puknięcie i szara ciemność zawisa w powietrzu. Towarzystwo z uroczystym pospiechem rzuca się do ucieczki—niewiadomo, zasmucone czy zadowolone, że ta przepyszna zabawa skończyła się wreszcie. Ostatnie szelesty spódnic, ostatnie spojżenia powłóczyste, ostatnie uściśnienia rąk! Ample olśniewające gasną... ogród tonie w mroku i ciszy, która, prawem kontrastu, głęboką się wydaje i smutną.

Panowie, urządzający tak zwane zabawy, —na miłość Boską więcej fajerwerków, świec rzymskich, kołowrotów, deszczów gwiazdzistych, szmermeli, rac i innych cudowności pyrotechnicznych, albowiem nic tak nie ożywia współczesnego czelaka, lepiej ubranego, jak dobra rakietka!..

Leon Choromański.

## E. C. H. A.

## O PRAWO DO ŻYCIA.

Na powierzchnię życia publicznego wyplętała sprawa, która rozegrała się w chassydzkiej rodzinie krakowskiej i ujawniła różnicę przynajmniej pięciu wieków między rodzicami i dziećmi. Panny Klugerówny, powodowane chęcią zdobycia wiedzy i emancypacji z pod wpływów środowiska — zerwały z domem rodziców i otoczeniem. Byłby to zwykły objaw odwiecznej walki „ojców i dzieci”, która toczyła się i w sferach inteligencji waszawskiej w czasie wzmoczonej wędrowności kobiet na uniwersytety cudzoziemskie, — gdyby nie szereg gwałtów i wykroczeń przeciw obyczajom współczesnym, popełnionych w tej sprawie. Dość często zdarzają się fakty w środowisku chassydzkim, że dziewczęta po ukończeniu pensji lub gimnazjum wychodzą za mąż za nieokrzesanych, zupełnie surowych i jedynie w talmudzie „obkutyh” ludzi. Dziewczęta, takie naogół poddają się biernie woli rodziców, szybko zrywają stosunki koleżeńskie i z czasem tak pograżają się w ciemnię życia rodzinnego, że młodość spędzona w szkołach przechodzi bez śladu i nigdy nie odbija się później na ich poglądach i dążeniach.

W otoczeniu pp. Klugerównien działo się widocznie jeszcze gorzej. Chcąc zniszczyć ostatecznie zamiary kulturalne i przeszkodzić potajemnemu kształceniu się dziewcząt — rodzice zmusili starszą do zamążpójścia i połączenia się z chłopcem piętnastoletnim, niekształconym, surowym, w dodatku suchotnikiem. Rodzice dowiedziawszy się, że małżeństwo nie żyje ze sobą cielesnie, postanowili Klugerównę zmusić do tego. Usiłowano w tym celu użyć siły, wyznaczono też na to dzień. Zbita i sponiewierana dziewczyna uciekła z domu. Podobne koleje przeszła młodsza Klugerówna

Tymczasem starsza, Anna, zdała maturę i wstąpiła na uniwersytet Jagielloński, zaś siostra jej Eleonora uczęszczała do gimnazjum. Zapewniono im bezpieczne schronienie i za pośrednictwem adwokata dr. Zygmunta Marka wystąpiono do sądu, domagając się pozbawienia Klugerów władzy rodzicielskiej i zniewolenia ich do łożenia na utrzymanie dziewcząt. Sąd sprawy wyraźnie nie rozstrzygnął, wobec czego pp. Klugerówny odwołały się do najwyższego trybunału w Wiedniu. Poseł socjalistyczny dr. Henryk Diamand wystąpił w parlamencie z interpelacją i zażądał szybkiego rozwiązania afery przez sądy, które dotychczas opieszałe i w sposób karygodny traktują sprawę stosowania gwałtu w życiu małżeńskim, zwłaszcza w stosunkach płciowych.

Z trybuny parlamentarnej sprawa przeniosła się na wszechnicę Jagiellońską. Młodzież akademicka zwołała walny wiec i po burzliwych obradach, w których wypowiedzieli się przedstawiciele różnych odłamów młodzieży, przyjęto jednogłośnie rezolucję następującą:

„Wiec ogólno-akademicki stwierdza, że stawianie pragnącym kształcić się przeszkód z powodu braku prawem przepisanego wieku, jest objawem ciemnoty i zacofania, sprzecznym z najistotniejszym prawem każdego człowieka do zdobywania wiedzy.

Do oświadczenia tego powoduje nas uchwała Sądu krajowego w Krakowie, który rozstrzygając prośbę kol. Anny Klugerówny i jej siostry Eleonory o zezwolenie im na kształcenie się na uniwersytecie Jagiellońskim, wypowiedział zasadę, iż niepełnoletnim wbrew roli rodziców nie wolno kształcić się na uniwersytecie, aczkolwiek wykazują wybitne zdolności i zamiłowanie do pracy naukowej.

Pogląd ten Sądu:

1) stoi w rażącej sprzeczności z zasadami przyrodzonego prawa i etyki,

2) narusza elementarne prawo do kształcenia się i rozwoju intelektualnego jednostki,

3) wrogi jest postępowi umysłowemu i moralnemu społeczeństwa.

Jest tem więcej ubolewania godne, że Sąd ten przeszedł do porządku nad stwierdzonymi faktami tortur fizycznych i moralnych, zadawanych Klugerównom przez rodziców, by wolę ich złamać.

Wiec wyraża gorącą sympatię kol. Klugerównie w jej walce z fanatyzmem i ciemnotą i, przyrzekając jej poparcie młodzieży akademickiej, wzywa ją do wytrwania.”

Oto jaką drogą zdobywa się możność postępowania w szeregu żywych ludzi. W odpowiedzi na anatemy, rzuconą przez kler żydowski na Klugerówny, młodzież akademicka otacza wyklęte zwartem kołem i przyrzeka im pomoc w walce o prawo do życia, które wyrwane zostaje kosztem rozterek, trudnych doświadczeń i niedostatku, lecz którego dotychczas uznać nie chce galicyjska kołtunerja sądownicza. Pewnem jest jednak, że jeśli w sferach chassydzkich Krakowa są jeszcze inne dziewczęta, mniej odważne i wytrwałe w swych dążeniach niż Klugerówny, akt łączności bezwzględnej i oświadczenie młodzieży akademickiej otworzy im prostszą i nie tak samotną drogę do wyzwolenia z niewoli rodzicielskiej i wyznawowej.

L.

Beaucoup de bruit pour une omelette..

Sprawa niefortunnego konkursu „Kurjera Warszawskiego” i wynikły stąd zatarg pomiędzy p. Mićnińskim z jednej strony a p. Ignacym Grabowskim i gronem sędziów konkursowych z drugiej — dotychczas odbiera sen niektórym publicystom. P. Gacki w „Odrodzeniu” poświęca temu zajściu artykuł wstępny; uważa je on za objaw symptomatyczny dla naszych stosunków; wogóle i twierdzi że „bój, który miał się toczyć za błękitami... ściągnięto w błoto.” P. Gacki ma niewątpliwie dużo słuszności, ale rozkołysał zbyt wielki dzwon alarmowy. Nie możemy połączyć się z p. Gackim w ubolewaniu nad tem, że szeroki ogół nie zainteresował się tą sprawą — gdyż jest to rzecz, obchodząca nadewszystko sfery zawodowe, a nasze społeczeństwo ma ciągle do rozstrzygnięcia sprawy donioślejszej wagi. Pali się! — woła publicysta z „Odrodzenia.” Istotnie — ale nie żaden gmach publiczny, tylko nawpół zgniła szopa nad gnojówką. Niech się pali i niechaj zniknie bez śladu, a wtenczas znajdą się ręce do wznoszenia nowej budowli

Mm.

## MARZENIA UTOPIJNE A MYŚL WSPÓŁCZESNA.

(Współczesność Karola Fourier'a).

(dokończenie).

Fourier harmonję tę ujmuje bardzo głęboko. Jakkolwiek często dziwaczniemi wydają się jego analogje, są swoją drogą ciekawe i dużo do myślenia dające. Przejawiają się w nich wybitnie tendencje monistyczne Fourier'a, rys, będący wspólnotą pomiędzy marzycielem, a współczesnemi socjalistami. Fourier we wszechświecie upatruje ruch poczwórny: materjalny, organiczny, zwierzęcy i społeczny. Wszystkie te cztery ruchy

czyli rozwoje ulegają tym samym prawom, i między niemi zachodzą najściślejsze analogie. Przed Fourierem należycie zbadane były tylko prawa, dotyczące ruchu materialnego; Fourier prawa te uogólnia na 3 ruchy pozostałe.

4 uczucia ludzkie zasadnicze (przyjaźń, miłość, ojcostwo — macierzyństwo i ambicja) mają swoje odpowiedniki w dziedzinie świata materialnego i w dziedzinie matematyki, mianowicie w 4-ch grupach przecięć stożkowych; a więc Fourier zestawia właściwości:

przyjaźni z właściwościami koła w matematyce, z właściwościami gwiazd stałych — i słońca na niebie; miłości — z właściwościami elipsy w matematyce, planet na niebie;

właściwościom uczucia ojcostwa i macierzyństwa — w matematyce odpowiadać mają właściwości paraboli, na niebie — satelici;

właściwościom ambicji odpowiadają wreszcie właściwości hiperboli i drogi mlecznej. Zespołowi zaś czterech powyższych uczuć ludzkich odpowiadać ma matematyczna kula.

Na twierdzenia tego rodzaju krytyka współczesna reagować może oczywiście tylko, jako na plód fantazji marzycielskiej. W fantazji tej dopatrzeć się jednak można szeregu głębszych myśli, a więc, że wymienię tu choć kilka, bezpośrednio i od razu się nasuujących. Z zestawienia uczuć z liniami matematycznymi widzimy, że przyjaźń — to u Fouriera stan najściślejszej równowagi: najmniejsze odchylenie od przyjaźni daje już miłość, tak samo, jak każde odchylenie od przecięcia kołowego stożka daje elipsę; tak samo zupełnie uczucia rodzinne (ojcostwo i macierzyństwo) zagrożone są bezustannie tem, że w razie wyjścia z równowagi wpadną w ambicję, tak samo jak parabola przeobrazi się w hiperbolę; same zaś te uczucia rodzinne wylaniają się z miłości tak, jak parabola z elipsy.

Elipsa, będącą odchyleniem od koła, w miarę dalszego odchylenia przechodzi w parabolę; jeśli jednak proces tego stopniowego odchylenia będzie powstrzymany, wówczas do elipsy upodobni się miłość bezpłodna, która, wyłoniwszy się z przyjaźni — symetrycznego koła, nie pociągnie za sobą uczuć ojcostwa i macierzyństwa; i elipsa bowiem nie przeobrazi się w furjowski symbol tych uczuć — w parabolę.

Idealnym, słonecznym uczuciem dla Fouriera jest przyjaźń; to słońce — lub gwiazdy słoneczne; to również prototyp wszystkich innych uczuć: przyjaźń — współzucie. Ale przeznaczeniem słońca jest przeobrazić się w planety, a w przyjaźni tkwi tendencja do przeobrażenia się w miłość. Stąd wyprowadzićby można wniosek, że Fourier wyżej stawia przyjaźń ponad miłość lub też, że uważa, że przyjaźń — słońce — to wieczysta tęsknota do przeobrażenia się w miłość — planetę. I takie pojmowanie wieczystej tęsknoty zupełnie będzie zgodne z współczesną tęsknotą Nietzschego. Satelitami miłości — są uczucia ojcostwa i macierzyństwa; to konieczne uzupełnienia płodnej miłości. Bezpłodna miłość podobna jest do planet, pozbawionych satelitów. Wreszcie uczucie ambicji, najmniej dające światła, najbardziej rozproszone i przez to najślabsze, a przytem najbardziej rozpowszechnione Fourier upodabnia do drogi mlecznej.

Snuć tu można tysiączne kombinacje, ale nie wchodzi one w zakres niniejszego artykułu.

Z zestawień uczuć ludzkich z liniami przecięć stożkowych i z ciałami niebieskimi Fourier wyprowadza wniosek, że właściwości uczuć ludzkich w ruchu wszechświata odgrywają rolę niezmiernie doniosłą, że są one najszlachetniejszymi twórcami wszechświata po Bogu, który zdaniem Fouriera jest duchem czynnym, wprowadzającym bierną materję w ruch na zasadach słuszności, t. j. matematyki.

I w tej apoteozie uczuć ludzkich utopijny marzyciel przeczuwa światopogląd dzisiejszego poganina, kultuwującego z nabożeństwem tysiącoletni plód rozwoju — subtelność i wrażliwość uczuć ludzkich.

Projektowane przez Fouriera reformy społeczne mniej są ciekawe ze stanowiska współczesnego od poglądów jego zasadniczych powyżej wyłuszczonych. Marksistę współczesnego wiele zdań i myśli Fouriera uderza, jako myśli, które się sprawdziły. A więc zaleca Fourier akcję współdzielczą, tworzenie „falansterów.” Dzisiejsze kooperatywy spożywcze i wytwórcze, dzisiejszy ruch robotniczy, związki zawodowe z wielu względów są wcieleniem w życie projektów Fouriera o akcji zbiorowej. Przyszłość właśnie należy do tych zrzeszeń robotniczych, a właśnie takie zrzeszenia propagował Fourier. Dziwaczność jego projektów nie jest bynajmniej wynikiem ich istoty, lecz raczej sposobu, w jaki je opisuje, szczegółowego przepisywania trybu życia i ustroju projektowanego falansteru. Krytyka kapitalistycznego systemu wytwarzania ujęta jest przez Fouriera w sposób najzupełniej właściwy, jakkolwiek nie jest całokształtem takim, jakim ją uczynili marksiści. A więc Fourier mówi o anarchji w wytwórczości, o przesileniach, bezrobociu przymusowem, o specjalizacji pracy, wywołującej najstraszniejszą jej monotonię, (na co w swych reformach Fourier kładzie nacisk poważny); o zwiększaniu się przepaści majątkowej pomiędzy bogaczami a biednymi, o upadku skali zarobków, o tendencji niżkowej w tym względzie.

Główne ostrze krytyki ustroju współczesnego skierowane jest przez marzyciela przeciwko handlowi. Kłamiwy stan kupiecki, zdaniem marzyciela, powoduje, że nad wszystkimi naszymi stosunkami panuje przedewszystkiem fałsz. Ostra ta krytyka handlu po części wynikała stąd, że Fourier w życiu prywatnym zmuszony był dla zarobku pracować w przedsiębiorstwach handlowych i bezpośrednio się ocierał o szwindle kupieckie, głęboko oburzające szlachetną naturę marzyciela. Namietność przeciwko handlarzom spowodowała u Fouriera nawet pewną nierozumną reakcję przeciwko żydom; przeważnie trudniącym się kupiectwem; Fourier żałuje, że im przyznano we Francji prawa obywatelskie. Zresztą pogląd to bynajmniej nie zasadniczy, niezgodny z ogólną teorią szlachetnego marzyciela, z głęboko humanitarnym jego światopoglądem.

Naogół światopogląd to przeczuwający subtelnie przyszłość, światopogląd rozwojowy, a rozwój ten ujmujący wszechstronnie, zarówno w ruchu kosmicznym, jak w materialnym, psychicznym i społecznym: jak przeobrażenia koła dają nam elipsę, jak przeznaczeniem słońca i gwiazd jest zostać planetami, jak przyjaźń zawiera wyraźną tendencję do przeobrażenia się w miłość, tak samo ustrój społeczny współczesny, zniechęcona przez marzyciela „cywilizacja”, wyłoniona z ustroju niższego, z barbarzyństwa, z konieczności przeobrazić się musi w ustrój przyszłości — w ustrój t. zw. gwarantyzmu, w ustrój, dający ludzkości rękojmię szczęścia.

Szczegóły tego upragnionego ustroju rysuje nam marzyciel i w szczegółach tych oczywiście wydaje nam się nierealnym utopistą. Tło jednak Fouriera, metoda myślenia, ogólne wytyczne utopjami nie są; przeciwnie; wyjątkowy ten marzyciel, jak żaden inny może mu współczesny, nie stoi tak blisko strzał rzuconych przez stęsknioną ludzkość współczesną w niepewne jutro szczęścia. Żaden może marzyciel nie jest tak blizkim tych, co w dziewiczych lasach przeczuć i uczuć współczesnych rąbią drwa i torują drogi światłodomej myśli dla przyszłych tęsknot za szczęściem.

Edw. Grabowski.

## KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Sobeski Michał. Przędziwo Arachny. Z pogranicza sztuki i filozofji. Książnica naukowa i artystyczna. Kraków, 1909, str. 176.

Książki w rodzaju ocenianej mielibyśmy chęć nazwać: *signa temporis*. Jak daleko sięgnąć po polach życia dzisiejszych społeczeństw, wszędzie widok jednaki: zaczynają się zwolna przemieniać dyplomowane wartości, a proces zahacza aż o same szczyty budowli duchowej zbiorowego człowieka. Powoli, a jednak fatalnie cały system słoneczny naszej kultury przesuwają się ku nowym gwiazdozbiorom. A w powodzi twórczości zjawiają się od czasu do czasu dzieła—kompassy, które, jeżeli nie sygnalizują zmiany, to ułatwiają bądź co bądź orientację, skąd płyniemy i dokąd.

Książka p. Sobeskiego wprowadza nas między zagadnienia, które są wiązaniami gdzieś u sklepień myśli ludzkiej. Autor cały czas wiedzie nas wzdłuż słupów granicznych dwóch mocarstw w świecie ducha: filozofji i sztuki (już karta tytułowa uprzedziła nas, że tam pójdziemy). Dzisiaj filozofja,—ta najmłodsza, która za naszych dni światło słoneczne ujrzała,—odwołała strażę wojenne z tego pogranicza, i bez niebezpieczeństwa z którejkądy strony może już myśl człowieka zaglądać w ten niegościnnie dotychczas szmat ziemi. I jeżeli naprawdę odtąd stale pokojowe w nim zapanują stosunki, zdoła go myśl zaludnić coraz gęściej i liczniej i nieprzewidziane może kiedyś z niewyzyskanej gleby wyorze skarby.

Sądzimy jednak, że nietylko wpływ myśli obcej (Bergson), zawiódł tam autora: własną jego duszę zaniosła „szlakiem żórawim” tęsknota, owa tęsknota wspólna całej tej gromadce dusz, którym ciasno wśród nagich rusztowań djalektycznej, czy krytycznej, myśli, tęsknota, która—powtarzamy za autorem—„tłucze w żelazne sztaby klatki z czasu, przestrzeni i kategorii”. A żeby za żórawiami w świat popłynąć, nie powiedziane jest, że ma się dusza do lotu sposobić w cienistych gajach marzycielstwa,—nie, dusza ludzka ma w sobie dość tej siły cudownej, aby i zgranitowego bruku ściślej, kontrolowanej myśli naukowej ulecieć w bezkresy, za błękitne morza wraz z temi ptakami, do ciepłego słońca, do natchnienia!

Autor oparł się na twardym gruncie wiadomości licznych i bardzo wszechstronnych. I teraz pozwala myślom szybować nad niemi swobodnie, niby dla odpoczynku w świąteczne południe.

Książka jego składa się z szeregu drobniejszych prac, z których kilka ze względu na formę zatracą prawie o beletrystykę. Nie wszystkie zresztą pod względem literackim są sobie równe, a może nawet te o formie więcej nowelistycznej ustępują innym „W kaplicy Medyceuszów”. Ciekawe jest bardzo zestawienie Kanta z Nietzschem, tych na dwóch krańcach, dwóch przeciwnych bogów, z których jeden „zgromadził kosze kwiatów myśli, upajał się ich wonią i baczył, by woni nie postradały”, gdy drugi „zglębiał, czemu róże myśli naszych, jak róże ogrodów naszych bez kolców być nie mogą”. A jednak obaj, jeden odsunięty od życia, drugi herold pełni i bogactwa życia, przeżywali wspólne momenty smutnej świadomości, że ich ideały,—dla jednego ideał poznania, dla drugiego ideał przyszłego, nad dzisiejszych wyniesionego człowieka,—niedosięgalne są dla ułomnej ludzkiej istoty. Interesująca jest także charakterystyka Taine'a, jako „marudera filozofji”, bo po Kancie myślał i pisał, jak gdyby nie było Kanta.

Najciekawszy wszakże jest artykuł, któremu tytuł zawdzięcza cała książka, bo daje pełny obraz poglądów autora na świat sztuki. Dla Sobeskiego świat to bezwzględnie autonomiczny, stojący logiką własną i własnymi prawami. Jedną w nim króluje zasada na-

czelna: indywidualność ludzka; sztuka, twierdzi autor, to jedyna prawdziwa psychologia. Ze wszystkich myślicieli najbliższym może tej prawdy był Kant, gdyż w krytyce władzy sądenia pytał, jak są możliwe sądy estetyczne a priori? czyli, gdy uznawał, iż świat sztuki, aby istniał, istnienia innych światów z góry nie zakłada. Nie ma sztuka celów poza sobą, jak i wzorów dla siebie nie potrzebuje, twórczość wykwiata samorodnie sama z siebie, i tworzy tylko gwoli samej sobie. Wszelka heteronomja jest grzechem sztuki, jak wewnątrz jej granic wszelka *mimesis* mgłą nędznych i bezcelowych omamień wikła chwilę jej słonecznych narodzin z duszy ludzkiej. Artysta snuje z siebie cudne przędziwo Arachny w samotni, na odludziu, gdzie go od zgiełku życia chronią „granitowe skały indywidualności”.

Kosztowną i zdobną szatę językową tej pięknej książki brukają niestety dość liczne usterki gramatyczne. Szkoda! I szkoda, że tą drobną uwagą musimy zmącić relację o naszym najdotodajniejszym i istotnie artystycznym wrażeniu.

Julja Dicksteinówna.

E. CZIRIKOW.

## U PROGU ŻYCIA.

... Wania obudził się i wyrzał przez siatkę swego łóżka.

Cóżby to miało znaczyć? Noc, — lampka w kącie, jak zawsze, gore czerwonym światłem, a po pokoju chodzą, hałasują i rozmawiają... Nieznajomi wujaszkwie, wojskowi i zwyczajni, i stróż także... Poco plądrują w jego szafie z zabawkami? Jak oni śmia? Dlaczego mama na to pozwala? Na podłodze leży koń Wani, bez ogona, książki z obrazkami, pudełko od gier... Mama, zdaje się, płacze!.

— Nie przestraszcicie dziecka! Na miłość Boga, nie przestraszcicie dziecka!

— Ja nie śpię, mamusiul..

— Śpij, kochanku, śpij sobie!.

— A co to za ludzie? Nie dawaj im moich zabawek!.

— Oni zaraz sobie pójdą... Śpij!

— Wypędź ich!.

Jeden z wujaszków uśmiechnął się i rzekł:

— Odważny!.. No idź na ręce do mamy!

— Nie chcę!

Mama wyjęła Wanię z łóżeczka i ku zdumieniu Wani, wujaszek zaczął mu słać łóżeczko.

— Nie trzeba trzymać cukierków pod poduszką, rzekł wujaszek.

— Nie ruszaj! Mamo! Co on robi?! Wynoś się!

— Doskonale! Teraz kładź się!.. Awanturnik!.

Matka pocałowała ciepłe ze snu dziecko i ułożyła w łóżeczku.

— To dziecinny pokój... Nic tu niema. Zapewniam panów!.

Wujaszkwie narobili hałasu, przewracając w szafie, szafę z ubraniami odsunęli, zajrzeli do pieca, do wentylatorów i jeden za drugim wyszli z pokoju.

— Wszystkie zabawki porzucali... Obrzydliwi! Co to za goście? — kapryśnie mówił Wania.

— Połóż się i śpij!.

— A ty?

— Zaraz... Odprowadzę ich i przyjdę do ciebie!.

— Włóż konika do pudła; on już i tak niema ogona!.

Weszła nianka, matka dała jej znak jakiś ręką i wyszła z pokoju.

— Przeszkadzili ci, aniołku Boży?! Ach mój ty Boże!.. Odwróć się do ściany!

— Pozbieraj moje zabawki!.. Głupcy...

— A ty się odwróć i śpij! Ja tu wszystko pozbieram, pochowam, pozamykam...

Wania odwrócił się. Nianka szeptała coś i porządkowała dziecinny pokój. Potem zbliżyła się do łóżeczka, nachyliła się i słuchała..

— Śpij z Bogiem, z Chrystusem!.. — szepnęła i pocichu wyszła...

Wania przewrócił się nawznak i otworzył niebieskie oczęta. Z minutę leżał spokojnie, poczem uniósł się na łokciu i spojrzął na podłogę: wszystko było sprzątnięte... Ale oni jeszcze nie poszli: rozmawiają w pokoju Alioszy, i Aliosza gniewa się na nich: mówi do nich niegrzecznie. A mama nie pozwala niegrzecznie mówić do starszych. Ci goście także starsi, czy to wolno niegrzecznie do nich mówić? Obcy wujaszek krzyczy... Spać trzeba, a oni krzyczą... Wania usiadł na łóżeczku, oparł podbródek o zimny żelazny pręt siatki i zaczął słuchać... Zdaje się że mama znowu płacze?.. Głupcy jacyś!

Wania przelał przez siatkę na krzesło, z krzesła na podłogę. Stał przez chwilę na dywaniku. Mama nie pozwala bosami nóżkami chodzić po podłodze... Można zajrzeć, a potem uciec, położyć się i odwrócić się do ściany...

Wania zbliżył się do drzwi, odemknął jedną połowę i zaczął patrzeć. Dobrze że ściągnął kołdrę, nogi stoją na kołdrze i są od spodu okryte: nie można się przeziębnić... Wszyscy wujaszekowie są w pokoju Alioszy, jeden wujaszek siedzi przy stole i pisze. Aliosza stoi plecami zwrócony, pochylił się, a wokoło głowy wicherzą mu się włosy, które on ciągle ręką poprawia.

— Powiedz, Aleksy! — prosi mama.

— Nie powiem... Nie mogę, mamol!..

— Aj-aj-aj!.. Mamy nie słucha.. A mama płacze..

Jaki to zuchwalec z tego Alioszy: nie chce mamy usłuchać!.. I wujaszek także prosi... surowy wujaszek.. A Aliosza go się nie boi... Aliosza nikogo się nie boi!.. A na nogach oficera brzęczą te sztuczki... Jak Wania duży urośnie, będzie oficerem i będzie miał także na nogach takie sztuczki... Zupełnie jak dzwoneczki!..

Dlaczego oni się żegnają: mama z Alioszą?

— Mamusiul nie płacz! — szepce Wania, i czerwone pełne usteczka dziecka krzywią się i drżą. I nianka nachyliła się i płacze..

— Pożegnaj się z Wanią!.. — mówi, płacząc, mama.

Wania drgnął i, płacząc się nogami w kołdrze, pobiegł do łóżeczka. Nie mógł ze wzruszenia wgramolić się na krzesło: kołdra przeszkadza, wlecze się... A oni idą... Dzięki Bogu, zdążył! leży, oczy zamknął, a nogi ma gołe: nie zdążył poprawić kołdry... Idą... Dzwoneczki brzęczą: idą razem z wujaszkiem...

— Żegnaj, Wańka!..

Wania poczuł na swym policzku usta Alioszy i drgnął od gorącej kropelki, która spadła mu prosto na uszko... Mama wybiegła z pokoju, potem wyszedł Aliosza i wujaszek Wania wyjrzał przez siatkę i znowu zobaczył tylko plecy Alioszy, które na chwilę mignęły we drzwiach... Wszyscy wyszli. Zrobiło się cicho... Dlaczego Aliosza pocałował go? Czyżby dokąd wyjeżdżał?..

## II.

— Mamol! Dokąd zawieźli Alioszę?

— Daleko...

— Czy to wujaszek z wąsami zawiózł go tam daleko?

— Tak.

— Ten, który rzucił na podłogę mego konika?

— Tak...

— Poco jego zabrali? co?

— Dowiesz się później, kochanie...

— Teraz powiedz!.. mamusiul!

— Teraz nie zrozumiesz, dziecko.

— Zrozumiem, mamol!.. No, mamol, mów!..

Wania często naprzykrzał się matce, zadając takie pytania. Matka odpowiadała dziwnie, niezrozumiale, nisko pochylała głowę, wdychała i wciąż tała coś w swem sercu przed Wanią...

Na podwórzu, gdzie Wania bawił się po obiedzie, dzieci z innych mieszkań opowiadały mu o Alioszy:

— Wywieziono go w czarnej karecie.

— Poco? Cóż to za czarna kareta?

— Stracić go mają!..

— Kłamiesz, nie mają! On niedługo do domu powróci... Mama mówi, że on...

— Nie przyjedzie już nigdy.

— Stróż mówi, że twój brat jest socjalistą!

— Kłamiesz!

— Takich wywożą w czarnej karecie i karzą śmiercią...

Wania bronił brata na podwórzu ze wszystkich sił. Lecz trudno było ich zwalczyć: ich było wielu, on zaś—jeden. I zawsze sprzeczki o Alioszę na podwórzu kończyły się łzami, Wania przybiegał do domu z czerwoną od łez twarzą i pędził prosto do matki:

— Mamusiul! Oni mówią, że Aliosza nigdy... nigdy...

— Nie rozmawiaj z niemi!

— Oni mówią, że Alioszę stracą... Mamusiul...

Powiedz mi. Oni kłamią? tak?

Matka uspakajała Wanię, lecz gdy ten przestawał płakać i zaczynał znowu dopytywać się o Alioszę, pochylała znowu głowę i znowu—czuł to Wania—tała coś przed nim w swem sercu...

— Ty sama jakoś kłamiesz... A mówisz, że kłamać niewolno...

Raz wieczorem Wania zobaczył, że matka stoi przed otwartą walizką i pakuje rzeczy. Matka miała w rękę kartkę Alioszy, i Wania domyślił się:

— Co ty robisz?

— Tak ot...

— A poco ta kartka Alioszy?.. A—al! Wiem już, wiem!.. Pojedziesz do Alioszy?.. tak?

— Tak, pojedę...

— A chciałaś mnie oszukać... Jaka ty jesteś! A dlaczego płaczesz?

— Tak... Czy pocałować go od ciebie?

— Pocałuj! Powiedz mu, Waśka stróża wymyśla na niego od socjalistów, a ja go za to po pysku zbiłem.

— Nie trzeba Wania...

— A—al! A to poco on na Alioszę wymyśla?! Otóż to! śmiejesz się z tego, a tak to sama płaczesz!..

Mama pojechała. W pokojach zrobiło się cicho i nudno. W domu była ciocia Sasza. Ciocia chodziła po pokojach powoli, matowa jakaś i zmęczona, otulała się w szarą chustkę, zatrzymywała się przed portretem Alioszy i długo się weń wpatrywała. Potem odchodziła i wyglądała przez okno. I widział Wania, jak o zmroku migłała w rękach cioci maleńka biała chusteczka...

— Co robisz, ciociu?.. co?

— Nic...

— Przecież płaczesz!..

— Nie. Katar mam, Wania...

— Kłamiesz... Widziałem. Czemu płaczesz?

— Tęskno mi...

— Za mamą?.. Tęskno za mamą i za Alioszą..

Czy tobie żal Alioszy?

— Żal mi...

— Czy myślisz, że on jest dobry?

— Dobry...

— A za co go do więzienia posadzili?

— Jako do więzienia? Kto ci to...

— Nie udawaj!.. Sam stróż mówi!..



Stali oboje przy oknie. Milczeli.

— Wania! nie skub tapety!

— Chodźmy, ciociu, do pokoju Alioszy! Chcesz?

— Dobrze...

Szli do pokoju Alioszy. Zapalali lampę Alioszy i siadali na kanapie Alioszy. Był to maleńki pokoik. Na ścianie gitara, mundur studencki, na stole czerwona bibuła cała zapisana, pokryta plamami atramentu, odłamek czaszki z niedopałkami papierosów... To palił Aliosza.

— Ciociu! Patrz—kogucik! To Aliosza narysował... Ja siedziałem na jego kolanach, a on rysował...

Ciocia wpatrywała się uważnie w arkusz bibuły na stole Alioszy, jak gdyby chciała domyśleć się czegoś ze śladów atramentu; potem, podparwszy głowę, zastygała w zadumie i przestawała słyszeć, co mówił Wania...

— No, ciociu! Ty nie słuchasz!

— Co?

— Czy mama odbierze im Alioszę?..

— Być może...

Potem kładli się na łóżko Alioszy... Ciocia gładziła Wanę po kędzierzawej główce i milczała, Wania zaś paplał. Fantazjował wciąż na ten sam temat: jak to on urośnie duży, będzie oficerem i przyjdzie do nich... Przestraszą się, będą uciekali... Ale nie! Nie uciekniecie przedemną!.. Będą prosili o przebaczenie... Nie trzeba, ciociu przebaczać?.. ciociu co?

— Co, kochanie?

— Nie przebaczać im? prawda—nie warto?..

— Nie wiem...

— Jeszcze czego—takim przebaczać!.. Nie, za nic im nie przebaczę. Spójrz: Aliosza zapomniał wziąć z sobą gitarę!.. I mama zapomniała mu ją zawieść... Kiedy wróci Aliosza?.. Prędko?

— Już prędko...

— Na wielkanoc?

— Może...

— Jeżeli oni go na wielkanoc nie puszczą, to ja im dam...

I znowu Wania zaczynał fantazjować...

Poco zabrali Alioszę?.. Aliosza nic im nie zrobił... Mama przez nich bezustannie płacze... Macie wyl macie! macie!...

### III.

Mama powróciła... Uściskały się z ciocią Saszą i obie płakać zaczęły... Potem przestały płakać, usiadły na łóżku Alioszy, obie opuściły głowy na piersi i długo milczały... I Wani na płacz się zbierało... Pewno stało się coś Alioszy...

— Nie poznałem ciebie, mamu... Weszłaś, a ja myślałem, że to obca...

— Ty, chłopczyno, powinieneś już iść spać...

— Dlaczego przyczepiłaś czarny ogon do kapelusza?

Mama nic nie mówi...

— Wyglądasz jak stara baba: wszystko czarne na tobie...

Mama nic nie mówi...

— Czyś widziała Alioszę?

— Tak...—szepnęła mama i wyszła do drugiego pokoju.

— Dokąd idziesz?..

— Zaraz...

Wania spojrział na ciocię Saszę, zbliżył się do niej i zajrzał jej w oczy. Ciocia milcząco porwała go na ręce i mocno do siebie przycisnęła...

— Oj! Boli ciociu!.. Masz tutaj szpilkę!—Milczeli czas jakiś.

— A mama?..

— Mamie niedobrze... Zmęczyła się bardzo. Połóż się spać... Ja cię rozbiore...

— A pocałować?

Wania lubił żeby przychodziła do niego matka, gdy kładł się spać, całowała go, gładziła po plecach i owijała nogi kołdrą.

— Dzisiaj ja cię pocałuję...

— A mama?

— Mama od jutra...

— Widzisz, jaka mądra... Ja chcę, żeby mama...

— Powiem mamie... Być może że i ona też przyjdzie.

— A co mama robi? Dlaczego zamknęła się tam?.. Wiem, wiem! Nie oszukasz mnie! widziałem przez szparę: modli się tam do Boga! pewno Aliosza zachorował?..

— Tak. Zachorował. Bardzo mocno zachorował...

— On nie umrze, ciociu!

— Bóg da, wyzdrowieje... Chodźmy!.. Czas już, kochanie... Słyszysz, bije dziewiąta?

— Nie wiesz, czy mama, nie przywiozła mi nowego konia?.. Obiecała mi... A dlaczego nianka od nas odeszła? Niech tam! Ona brzydka, bo wymyśla na Alioszę...

I nie przyszła już tym razem mama pocałować Wanę... W kącie po dawnemu paliła się lampka czerwonym płomykiem... Jak żywy porusza się i drga płomyk na świętym obrazie... Nianka nazywała lampkę — „Boże oczko“... Dzisiaj zapalono wszędzie lampki: i w pokoju Alioszy i w salonie... Aliosza nie zapalał nigdy, a oni wzięli i u niego też zapalili... Aliosza rozgniewa się, jak przyjedzie do domu...

Ciocia rozebrała, pożegnała i pocałowała Wanę.

— Poglądź po plecach!.. A kołdra?.. Podwiń ją pod nóżki!..

— Czy tak?

— A mama? Każ jej zdjąć z kapelusza czarną wstążkę... Zupełnie jak jaka stara baba...

W nocy chodził ktoś po pokoju. Ciocia spała w dzieciennym pokoju: przewracała się wciąż i wzdychała, a tam w pokoju Alioszy, ktoś płakał i szeptał... Zapewne mama... dlaczego nie śpi?

— Mamusi!—szepnął Wania. Powtórzył raz jeszcze. Jeżeli po trzech razach mamusia nie przyjdzie, widać niema co czekać...

— Ma-mu-siu!

Nie przyjdzie... Strach jakoś bierze... Jest cicho bardzo i wciąż chodzi ktoś ostrożnie, jakby na palcach się skradał...

— Bum!

Serce zadrżało: zadzwonił zegar tak jakoś dziwnie zadzwonił, bardzo głośno, jak dzwon na cerkwi...

Zegar, jak żywy... Zupełnie jakby uderzali młotkami w kuźni, na wsi... Uderza, uderza, uderza, a potem—bum! Zupełnie jakby wiedział, ile wystukał czasu i mówi o tem ludziom... Skąd on to wie? Kto wymyślił zegar... Aliosza miał zegarek z kopertami... Jak przycisnąć guziczek, to się otwiera... Aliosza teraz napewno nie śpi: kiedy jest się chorym, wtedy jest bardzo gorąco i wciąż się chce pić... I Aliosza napewno jęczy. Kiedy się jest chorym, to się jęczy... mama modli się do Boga. O co? Żeby Aliosza wyzdrowiał... Bóg może wszystko zrobić. Pomodlić się tylko do Niego, a On zaraz przyśle białego anioła i ten już wszystko zrobi...

Wania usiadł w łóżeczku, podrapał się i spojrział na „Boże oczko“... Spogląda Bóg na Wanę... To nie sam Bóg, tylko Jezus Chrystus... Sam Bóg jest starzec, a Jezus Chrystus młody... On jest lepszy. On kocha dzieci... Nianka mówiła że gdy On spotykał na ulicy chłopców i dziewczynki, to brał je na ręce i sadzał je sobie na kolanach... On jest bardzo dobry!..

— Jezusie Chrystusie! Powiedz swemu ojcu, żeby się nie gniewał na Alioszę... Aliosza jest bardzo dobry chłopiec!..

Wania przeżegnał się kilkakrotnie, następnie klaniał się bardzo nisko. Za ostatnim razem oparł się wprost głową o poduszkę i umilkł: ciocia się poruszyła... Może jeszcze zobaczyć, jak on się modlił.. Wania patrzył z ukosa na łóżko cioci, sam zaś modlił się po cichu.

Dobrze, bardzo wygodnie było modlić się w takiej pozycji—z głową w poduszce...

— Kochany Jezusie Chrystusie! Niech ja prędzej duży urosnę i niech będę bardzo silny... Silniejszy od Waśki stróża!.. I taki odważny jak bohater... Wtedy ja im pokażę... Zlituj się nad mamą, i nademną, i nad Alioszą, daj ojcu królestwo niebieskie.

Długo modlił się Wania... Wymyślał dla nich w piekle wszystkie przykrości i męczarnie, o jakich mu niańka opowiadała... I tak usnął z głową wetkniętą w poduszkę... I śnił się Wani wspaniały sen: że stoi on za bramą, a obok czarny djabeł kudłaty prowadzi ich wszystkich do piekła. Ręce mają powiązane sznurami, na nogach zaś brzęczą, jak u aresztantów, żelazne łańcuchy, a djabeł idzie za niemi z długim kijem i krzyczy na nich, aby szli prędzej. Wania przeląkł się kudłatego djabła i schował się za furtkę, ale kudłaty djabeł zawołał do niego: „nie bój się! tobie nic się nie stanie!” Wówczas Wania wyszedł znowu za bramę i krzyknął:

— Dokąd ich pędzisz?

— Do piekła! Bóg kazał ich do piekła zaprowadzić!.. krzyknął Wani, obejrawszy się, kudłaty djabeł..

— Acha! mówiłem ci, Waśka!.. Kto miał rację?.. Ot jak się stało!

#### IV.

Wkroczyła policja. Przynieśli koszyk Alioszy. Dwaj policjanci: jeden zwyczajny, a drugi wyższy. Wania patrzył przez szparę odemkniętych drzwi, i w małych jego oczkach błyszczała złość... Znowu przyszli! Czegoż oni jeszcze chcą? I bał się i jednocześnie bardzo chciał krzyknąć, żeby się wynieśli... A mama rozmawia z niemi... Wręczyli jej jakiś papier i każą coś pisać. Mamie ręka drży i poruszają się wargi... A oni mówią o Alioszy:

— Bielizna podług spisu, książki, palto, surdut. Mama machnęła ręką i odwróciła się do ściany... Gdy poszli,—mama stanęła koło koszyka Alioszy i długo nań patrzyła, potem uklękła koło koszyka i położyła głowę na wieku..

I zaczęła płakać..

Wania uciekł do dziecinnego pokoju. Nie wiedział dla czego nagle i jemu także płakać się zachciało. Ukrył głowę w fotelu i zaczął szlochać. I płakali oboje: mama w przedpokoju przy koszyku Alioszy, Wania w dziecinnym pokoju... Ciocia przychodziła do Wani, gładziła go po główce, lecz nic nie mówiła: wdychała tylko i pieściła Wanię.

Mama tego dnia nie jadła obiadu: Wania tylko z ciocią we dwoje siedzieli przy stole i mówili szeptem:

— Mamusia nie będzie jadła? Dlaczego?

— Nie, nie będzie.

— Czy zachorowała?

— Tak.

— A poco oni przynieśli koszyk Alioszy? Więc i Aliosza niedługo przyjedzie?.. ciociu!.. niedługo?

Do mamy przyjechał doktor. Przyjęto nową kucharkę, niańki zaś nie przyjęto. Bo i niepotrzebna: czy to on mały, albo co?.. Wszyscy mówili szeptem i chodzili cicho, jakby się obawiali obudzić kogoś... Wieczorem wpuszczono Wanię do mamy. Mama leżała w łóżku, na stoliku zaś obok niej stało lekarstwo z żółtymi papierkami i portret Alioszy... Mama zrobiła się szczupła, szczuplutka i mówiła tak cicho, tak cicho...

— Jadłeś?

— Jadłem... I piłem mleko... Dlaczego postawiłaś tutaj Alioszę?

— Stęskniłam się...

Wania czuł się tam jakoś niedobrze: mieszał się i nie wiedział, o czym z mamą rozmawiać. Siedział na łóżku i patrzył na rękę mamy. Ręka mamy leżała na Wani kolanach, a on bawił się paluszkami mamy...

— Wszyscy chorują: i Aliosza choruje, i ty chorujesz... I Waśka stróża nie bawi się na podwórzu, bo się zaziębił i umrze. Dobrze mu tak: on mówi, że Alioszę stracili... Ciocia porwała nagle Wanię na ręce i wyniosła do drugiego pokoju. Wania nie protestował, nie napierał się, żeby wrócić do mamy... Przejmowało go coś strachem w tym przymkniętym pokoju, w którym leżała chora mama... Coś niewidzialnego kryło się tam, w tym pokoju, i strasznie jakoś wyglądały drzwi mamy ze złamaną klamką...

Wieczorem ciocia poszła z Wanią na spacer. Wstępowali do cerkwi na nieszpory. W cerkwi było zupełnie pusto: tylko pop, dwaj psalmiści i żebraczki, takie stare staruszczyki. I światła było mało... Było nudno, ciemno i nie chciało się długo stać...

— Dosyć już! Chodźmy!

Wania ciągnął ciocię za suknię, lecz ona nie zwracała na to uwagi, modliła się; i nawet klękała... A dawniej nigdy nie klękała...

Dość już, namodliłaś się!.. O, tam idzie z puszką! Daj mi połóżę grosik!

Ciocia dała dziesiątkę. Ominął go, pewno nie przypuszczał, że Wania da dziesiątkę... Wania dogonił go i wrzucił dziesiątkę do puszek... Dziesiątka aż stuknęła w puszcze. Ten, co zbierał pieniądze, uklonił się Wani... A widzisz, uklonił się!.. Kontent, że Wania dał dziesiątkę!..

— Dość już! Chodźmy, pocałujmy krzyż!.. Od tam, gdzie jest Jezus Chrystus!..

Wania znowu pomyślał o Alioszy i o śnie, który miał wówczas,—lecz z djabeł!.. Ciocia podniosła Wanię, a on pocałował mocno Jezusa Chrystusa w to miejsce, gdzie została mu na nóżce ranka od gwoźdźnika...

— Nie zapomnij aby, kochany Jezusie Chrystusie!—pomyślał Wania, a kiedy postawiła go na podłodze, przeżegnał się jeszcze trzy razy i uklonił Jezusowi Chrystusowi, szurgnąwszy nóżką.

Wracając do domu, spotkali policjanta.

— U—u, obrzydliwy szepnął Wania...

— Wania czyż tak się godzi?..

— Tak się godzi!

— Aj—aj!.. Gdy mama się dowie, będzie się gniewała...

— Nie będzie!..

— On ci nic nie robi, a ty...

— Właśnie, że robi!..

— Nie można tak. Mogą za to cię schwytać i wziąć na policję...

— Niech tam!.. Ja się nie boję!.. A dla czegoż oni... Do piekła pójda... wszyscy oni!.. Chwała Bogu!..

Od czasu kiedy zabrali Alioszę Wania bał się i nienawidził jednocześnie policjantów, w każdym poznawał jednego z tych, którzy przyszli w nocy po Alioszę...

— Oto ten plądrował w moich zabawkach... U—ul.. Jaki obrzydliwy!

— Dlaczego myślisz, że to ten?

— Aha! A wasy?! Już ja zauważyłem...

— Wszyscy mają wasy...

Aha! Nie takie!.. Mnie oszukać nie łatwo... Ja wiem.

#### V.

Mama chorowała. Przyjeżdżał doktor, wszczywał się ruch i przerywał zwykłą ciszę w pokojach. Przy noszono lód, wodę, białe prześcieradła, biegano do

apteki, stukano drzwiami. I nikt nie zajmował się Wanią. Zapominano o nim. Ciocia spała z mamą, z Wanią zaś spała nowa kucharka. Chrapie w nocy i tylko z nią gorzej, — bo straszy. To znowu nagle rozczocharana, jak stara wiedźma, przybiega bosemi nogami do łóżeczka i wyciąga Wanię:

— Czego chcesz?

— Usiądź!

— Ja nie chcę...

— Siadaj, siadaj!

— Jaka głupia... Ja nie małe dziecko...

— Nie kłóć się! Strejkowiec!..

Sadzą go, a sama znowu rzuca się na materac... I znowu chrapać zaczyna... Ot, jakaż to ona!.. I niema rady. Siedzi Wania i drzemie... Głowa opada coraz niżej, niżej... aż nagle drgnie Wania, ocknie się.

— Kucharko! Jaka to ona... Sama chrapie...

Wstaje i gramoli się na krzesło, a z krzesła do łóżeczka... A kucharka nagle się zrywa i rzuca się:

— Gdzie jesteś? a... położyłeś się... Zrobiłeś?

— Wynoś się! Mówiłem ci, że nie chcę!.. Po-wiem mamie!

— Matka umiera, a on mamie powie! Ordynus!

— Nie wymyślaj, powiadam!

Było mu przykro, a co najważniejsza strach go ogarniał na myśl, że mama umrze. I Wania, wtuliwszy nos w poduszkę, pocichutku ją ślinił.

— Spokoju nie dają, szubienicznicy... O, Boże litościwy! Przebacz im przekłętym! — szeptała kucharka i znowu chrapać zaczynała...

W dzień, kiedy wszyscy zapominali o Wani, bawił się w dzieciennym pokoju i rozmawiał szeptem z zabawkami, bo żal mu było mamy i niechciał hałasować.

Ołowiani żołnierze byli policjantami. Stawiał ich na podłodze na dywaniku, a sam przypasywał blaszaną szablę.

(d. c. n.),

## WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

- Belmont Leo. *Dwa odczyty: 1. O upadłej kobiecie. 2. Matężństwo i prostytucja* cena —.60
- Bhagawadgita czyli pieśń o Bogu*, poemat filozoficzny indyjski, przełożył z sanskrytu St. Fr. Michalski . . . . . 2.80
- Czermak Wiktor prof. *Grunwald*, Lwów . . . . . —.45
- Cztery głosy o poecie*, zebrał i przełożył Jan Kasprowicz, Lwów . . . . . " —.80
- Grabowski Ign. *Sokół*, komedia heroiczna z czasów renesansu polskiego w 6-ciu obrazach . . . . . " 1.60
- Korczak J. *Koszalki—opatki*, wyd. drugie. . . . . " 1.20
- Młodowski Kaz. *Na ziemi*, nowele i obrazki " —.80
- Rolicz Lieder Wacław. *Krakof i Olof, dwaj bajeczni władcy Wawelu* . . . . . " 1.—
- Smolarski Miecz. *Pieśni i śpiewy rycerskie*, Kraków . . . . . " 1.20
- Weininger Otto. *Płeczi charakter*, rozbiór zasadniczy, przełożył Ostap Ortwin . . . . . " 2.50
- Wierzbński M. *Zakazana muzyka*, nowele. . . . . " 1.20
- Wiśniewska Marja. *Chrzantecler*, pokazanka w 4-ch aktach . . . . . " —.40
- Wspomnienia młodej robotnicy*, z przedmową Augusta Bebla . . . . . " —.75
- Według wykazu Księgarni Powszechnej.

## KRONIKA.

— Michał Rybs, oskarżony o usiłowanie zabójstwa pułkownika von Kottena, naczelnika policji tajnej w Moskwie, został uniewinniony przez sąd przysięgłych w Paryżu. Ze sprawozdania przewodniczącego sądu dowiadujemy się, że Rybs, inżynier, skazany został na Syberję w 1906 r. za udział w zamachu, dokonanym w Moskwie. Schwytany na nowo, odzyskał wolność dzięki przyrzeczeniu, danemu von Kottenowi, że przejdzie na usługi policji tajnej. Rybs w celach służbowych udał się do Paryża, ściągnął tam Kottena pod pretekstem udzielenia ważnych wiadomości, zwał go w zasadzkę i dał do niego sześć strzałów. Aresztowany, oświadczył, że zemścił się w ten sposób na Kottenie za to, iż tenże zmusił go do służby szpiegowskiej. Na sądzie oskarżony zeznał, że zgodził się pozornie wstąpić do policji, gdyż sądził, że uda mu się tą drogą poznać agentów—prowokatorów i zdemaskować ich wobec swych rodaków. „Kotten—twierdzi oskarżony—polecił mi nie tylko denuncjować rewolucjonistów, ale jednocześnie podżegać do zamachów, ażeby jaknajwięcej ludzi skompromitować“.

Pułkownik Kotten zeznaje (po rosyjsku) iż Rybs za cenę pozostania w kraju zgodził się po pewnym wahaniu do wstąpienia na służbę policyjną. Na sądzie ujawniono szczegóły kompromitujące von Kottena. obrońcą Rybsa był znany adwokat, poseł socjalistyczny, Albert Willm, obrońca Kottena—głośny adwokat Dreyfusa—Labori. W charakterze świadków głos zabierali: Jan Jaurés, adw. Staal, Burcew, Bakaj, Luquet.

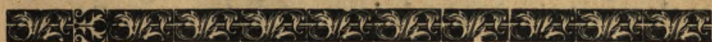
— Od paru tygodni odbywają się w Warszawie masowe rewizje i aresztowania.

— W kularach Dumy obiega pogłoska, że w tych dniach ma być ogłoszony ukaz o utworzeniu specjalnej komisji ankietowej dla zbadania stanu rzeczy w ministerjum marynarki. Do komisji mają należeć: kilku członków Rady Państwa, kilku posłów do Dumy oraz członkowie komisji obrony państwowej.

— Obiegają pogłoski, że osławiony Zubatow ma być mianowany wicedyrektorem departamentu policji.

— „Riecz” donosi, że synod pozwolił arcybiskupowi, Antonjuszowi Wołyńskiemu, na otwarcie w Poczajewie „kursów przeciwkatolickich“.

— Według wiadomości, otrzymanych w Dumie, ochrona nadzwyczajna tam, gdzie jeszcze obowiązuje, ma być zniesiona i zastąpiona przez ochronę wzmocnioną. W razie zupełnego uspokojenia ochrona wzmocniona zostanie zniesiona po upływie pół roku.



# Od Administracji.

Ogłoszenia do

## SPOŁECZENSTWA

przyjmuje się

w administracji ul. Wielka № 1-a telef. 97-83.

ul. Krucza „ 12 m. 15 „ 66-01.

ul. Długa „ 9 m. 18 „ 94-01.



Największe powagi lekarskie całego świata polecają  
**PASTYLKI**

**GÉRAUDEL'a**

jako środek leczniczy, usuwający radykalnie chrypkę,  
katar, kaszel oraz wszelkie choroby dróg odde-  
chowych.

**Cena pudełka 85 kop.**

**UWAGA.** Oryginalne pudełka zaopatrzone są w czerwoną  
etykieta z firmą głównego przedstawiciela. na Królestwo  
i Cesarstwo. „Fabian Klingsland. Warszawa”.

**Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!**  
**SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE!**

**HERBATA z gór Harcu**

(Dr. Lauer's Harzer Gebirgstee).

Zalecana przez najsłynniejsze powagi lekarskie, zatwierdzona przez  
departament Med. przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Peters-  
burgu jest jedynym z niezbędnych środków dla utrzymania zdro-  
wia. Napój przyjmowany w ilości 2—3 filiżanek tygodniowo, leczy  
wyrzuty, liszaje uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, artre-  
tyzm, cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie  
Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, grypy, cholery

**Cena pudełka 1 rb., 1/2 pudełka 50 kop.**

**UWAGA:** Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą ety-  
kieta: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

**JOZEF GROSSMAN. Warszawa, Śliska № 93a. Telefon 184-44.**

Za miejscowym wysyłam za zaliczeniem od rb. 1 z odliczeniem na ko-  
szta przesyłki. Wystrzegaj się falsyfikatów i podrabianych etykiet.

## BEZ DOGMATU

dwutygodnik poświęcony sprawom społecznym,  
politycznym i ekonomicznym.

„Bez Dogmatu” zajmuje wyjątkową placówkę w naszym  
społeczeństwie: bezwzględnie radykalne, niezaślepienie  
żadną doktryną, nieograniczone żadnym dogmatem  
społecznym, politycznym lub religijnym, niezależne  
od żadnego stronnictwa, głosi ono zawsze i śmiało  
słowa prawdy, tego warunku sine qua non istotnego  
postępu, oświecła zjawiska życiowe ze stanowiska  
ostatnich dorobków Myśli Ludzkiej.

Celem udostępnienia pisma naszego szerszej publicz-  
ności, oznaczyliśmy nader niską cenę takowego:  
**rocznie rub. 3. półrocznie rub. 1.50 kop., kwartalnie 75 kop.**  
wraz z odnoszeniem do domu lub przesyłką. Dla człon-  
ków zrzeszeń zawodowych: **rocznie rub. 1.50 kop., Pół-  
rocznie 75 kop., kwartalnie 40 kop.**

Adres redakcji i administracji:

**Warszawa, ul. Wspólna 77. m. 41.**

MACZKA  
**NESTLÉ**  
MLECZNA

**Idealny pokarm**  
**dla niemowląt**  
oraz dla osób dorosłych — chorych  
na żołądek.

## Wolne Słowo

TYGODNIK SPOŁECZNY, POLITYCZNY, LITERACKI,  
i NAUKOWY

pod redakcją **Leo Belmonta**

Redakcja i administracja **Warszawa, Marszałkowska 77 m. 17**  
telefon № 118-98.

**Przedpłata z dodatkiem wynosi:**

w Warszawie z odnoszeniem, na Prowincji i Cesarstwie  
z przesyłką:

kwartalnie	rb. 1.75 kop.
półrocznie	„ 3.50 „
rocznie	„ 6.60 „

Zagraniczni abonenci dopłacają za przesyłkę kwartal-  
nie kop. 15, rocznie kop. 40.

Numer pojedynczy kop. 15 — podwójny kop. 25.

Rocznik „**WOLNEGO SŁOWA**” (52 numery) w Administra-  
cji po cenie niższej z przesyłką rb. 5.

## „Odrodzenie”

**Tygodnik polityczno-społeczny, literacki i artystyczny**

pod kierownictwem **Stefana Gackiego** i przy stałym  
współpracownictwie **Jerzego Huzarskiego, Izy Moszczeń-  
skiej, Ignacego Radlińskiego, Wincentego Rzymowskiego,**  
**Antoniego Szecha i Wincentego Trojanowskiego.**

**WARUNKI PRENUMERATY:**

w Warszawie:		Na prowincji i zagranicą:	
rocznie	rb. 8	rocznie	rb. 10.—
półrocznie	„ 4	półrocznie	„ 5.—
kwartalnie	„ 2	kwartalnie	„ 2.50

Prenumeratę przyjmują administracje i księgarnie.  
Adres Redakcji **Trębacka 10** Telefon 144-40